

№ 43 Rok XIX.

Dnia 10 (22) Października 1898 r.



# WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



PIERWSZA PRÓBA KONNEJ JAZDY.



## STO LAT TEMU NAD NILEM.

(Dalszy ciąg).

Bonaparte przyspieszał marsze, aby zdobyć Akre zanimby nadeszły owe posiłki i zanimby Anglicy zdążyli dokończyć robót przy wzmocnieniu forticy. Oczywiście, liczył też wiele na swą artylerję, której rozkazał przybyć z Aleksandryi.

Lecz pod tym względem szczęście mu nie dopisało. Sidney Smith zdobył fregaty francuskie i armia została jedynie przy armatach małego kalibru, jakie prowadziła z sobą i szczyptym zapasem amunicyi.

Mimo wszakże tak trudnych warunków naczelny wódz ufał, że pokona nieprzyjaciela.

Z niebywałą wytrwałością i męstwem Francuzi ponawiali szturm za szturmem, pracując równocześnie przy podkopach pod niustannym ogniem ich własnych armat, które Sidney Smith nie omieszkał zwrócić przeciwko nim z wałów fortecznych.

Oblężenie trwało zaledwie dni kilka, gdy twierdza otrzymała posiłki w ludziach i amunicyi, a zapowiadano lada chwila nadejście armii tureckiej.

Nie ustając w robotach oblężniczych, wysłał Bonaparte trzytysieczną dywizję Klebera ku Jordanowi, aby broniła przeprawy Turkom. Ci jednak zdołali przejść rzekę, i dopiero w pobliżu Nazaretu spotkały się wojska.

Nieprzyjaciela liczone na 25 tysięcy.

Zawiadomiony o tem wódz, pośpieszył z dywizją generała Bon na pomoc Kleberowi.

Już walka wizała w całej zaciętości, już garstka Francuzów, wytrzymując szarżę wielotysiecznej armii tureckiej, wzniosła dokoła siebie wał z poległych ludzi i koni nieprzyjacielskich, gdy najniespodziewaniej nadszedł Bonaparte z Bon'em, a otoczywszy Turków ze wszystkich stron, zadał im cios stanowczy.

Tysiące przeciwników legło na polu bitwy, reszta w bezładnej ucieczce szukała ocalenia.

Cały obóz turecki, trzy buńczuki paszy, czterysta wielbłądów i wielkie bogactwa dostały się Francuzom, którzy w liczbie zaledwie 6 tysięcy, znieśli armię, będącą wedle obrazowej mowy Wschodu, „liczną, jako gwiazdy na niebie i piasek na brzegu morskim.”

Ale zwycięstwo to choć tak świetne, nie dopomogło do zdobycia Akry.

Oblężenie przeciągało się już dwa miesiące i straty w armii były znaczne, oddany bowiem wodzowi żołnierz szedł zawsze z równym zapalem, na oczywistą niemal śmierć.

Tu właśnie, jeśli już pominiemy innych zasłużonych i walecznych, zakończył życie wielkich zdolności generał Caffarelli po amputacyi lewej ręki, strzaskanej w czasie jednego ze szturmów.

Sam też Bonaparte znajdował się kilka razy w poważnym niebezpieczeństwie, na które się często bez obawy narażał.

Gdy jeszcze na domiar złego, dżuma zabierała coraz więcej ofiar i przeszło tysiąc rannych i chorych leżało po ambulansach, spieszny odwrót do Egiptu stał się konieczny.

A jednak wyprawa do Syrii nie była bez korzyści, gdyż zniweczyła armię turecką, która od strony lądu nie mogła już zagrażać Egiptowi.

Tymczasem w Egipcie oprócz spodziewanego lada chwila przybycia drugiej armii tureckiej do ujść Nilu, zagrażało nowe niebezpieczeństwo; pojawiły się bowiem wśród ludności miejscowej bunt i niepokoje, a w pozostałym na miejscu wojsku francuskim przygnębienie i niechęć wyraźna.

Mimo bowiem dostatku i wygod, jakimi tu był otoczony każdy żołnierz, tęsknota za ojczystym krajem doprowadzała go do rozpacz i najwierniejsi Bonapartemu żądali urlopu, by wrócić do Francyi.

Chociaż jednak ciężki smutek trapił serca dzielnych wojaków, pozbawionych już od 6 miesięcy wiadomości z Europy, przejmowali je bowiem strzegący Morza Środkowego Anglicy, wszyscy milkli wobec naczelnego wodza, ulegając temu niezwalczonemu wpływowi, jaki ten niezwykły człowiek wywierał zawsze na otaczających.

Prędko też poskromił Bonaparte powstańców arabskich, wspomaganych przez Mameluków. Wysłany bowiem oddział rozproszył rokoszan, skoro tylko dowódca ich El-Mahdy, manujący się aniołem przysłanym przez proroka, zabitym został.

Tak załatwiwszy sprawy najpilniejsze, nakazał Bonaparte w Kairze wspaniałe uroczystości dla uświetnienia swych zwycięstw w Syrii, a w nowych odezwach do mieszkańców Egiptu, zapewnił ich, iż posiada władzę poznania najskrytszych myśli i zamiarów każdego, czem wzbudził dla siebie wielkie poszanowanie i strach wśród zabobonnych tamtejszych ludów.

W czasie tych wypadków, rozszły się głuche wieści o mającej wkrótce wybuchnąć w Europie nowej wojnie z Francją. Bonaparte czekał niecierpliwie na szczegóły, gotów wrócić do kraju, gdyby się okazała potrzeba, pierwiej wszakże zamierzał jeszcze znieść drugą armię turecką, która skoncertowana na wyspie Rodus, miała niebawem wyładować w Afryce.

Jakoż 11-go lipca armia ta przewożona przez Sidney Smith'a stanęła pod Abukirem w tejże samej przystani, w której eskadra francuska zniszczoną została.

Półwysp, zamykający przystań, a noszący jej miano, tworzy wąski pas ziemi między morzem a jeziorem Madiel, na samym jego końcu wznosił się port.

Bonaparte wydał wcześniej rozporządzenia generałowi Marmontowi, dowódcemu w Aleksandryi, aby pracując nad wzmocnieniem forticy, zniszczył przedewszystkiem przylegającą do niej wioskę.

Ale Marmont nie dopełnił tego rozkazu; przeciwnie, umieściwszy tam żołnierzy, połączył redutą wioskę z fortecą zasłaniając ją od lądu.

To też artylerya turecka, którą dowodzili oficerowie angielscy, uderzyła przedewszystkiem na te okopy, a zdobywszy je bez trudu, załogę w pień wycięła, poczem i forteca poddać się musiała.

Na czele dwutysiecznego oddziału wyruszył Marmont z Aleksandryi do Abukir, lecz dowiedziawszy się, że Turków było 18 tysięcy i to. przeważnie dzielnych jańczarów, ułkł się ich przewagi i cofnął z powrotem.

Turecy więc zajęli prawie bez oporu cały półwysp i rozłożyli się na nim, oczekując przybycia Murad-Beja, który z Górnego Egiptu miał nadszednąć przez pustynię z kilku tysiącami Mameluków. Armii bowiem tureckiej brakowało właśnie jazdy.

Skoro naczelny wódz francuski odebrał te wiadomości, opuścił natychmiast Kair z dywizjami generałów Lannus, Bon i Murat'a i skutecznili do Aleksandryi jeden z owych nadzwyczajnych marszów, jakimi zdumiewał w kampanii włoskiej i później tyle razy zapewniał sobie zwycięstwo.

(d. n.)

## BEZ PRZEWODNIKA.

KARTKA Z ZAKOPANEGO.

(Dalszy ciąg).

Ale Brońcia jest bliską płaczu, zamyka oczy, każe się prowadzić, drży cała. Towarzysze tłumią śmiech przez łtósć.



— No, tu przecie szeroko!

— Nie mogę, nie mogę! Przywiążcie mię do drzewa, bo się stoczę po tej pochyłości.

— Patrz, szynka się nie stacza, chleb leży spokojnie, patrz, butelka.

— Ach!

Brońcia zasłoniła oczy, gdyż nieszczęsna butelka nie odpowiadała wcale zaufaniu swojego opiekuna i stoczyła się w krzaki.

— Cała, cała! — zawołali radośnie Staś i Felek i w mguieniu oka zsunęli się bokiem ku krzakom, aby pochwycić zbiega.

— Cała szyjka, nawet korek nie wyskoczył, tylko dna i wina brakuje.

Wszyscy się śmieli, wujenka i poważny wuj Stanisław, opiekunowie tego młodego grona; jedna Brońcia drżała. Poradzono jej, aby położyła się na ziemię i w tej dopiero pozycyi zdobyła się na odwagę popatrzenia na piękny widok.

— Dajcie reńskiego, a zejść po tej ścieżce prosto het, precz, aż na dół — odezwał się młody góralczyk, świecącemi oczami patrząc na wystraszoną dziewczę.

— Trzymajcie go! — zawołała przerażona Brońcia, i twarz ukryła w dłoniach.

Z zejście nie było trudne, Brońcia jednak szła ciągle prowadzona przez brata i przewodnika, z zamkniętymi oczyma, blada, z wyrazem trwogi i zmęczenia. Dopiero na Gęsiej Szyi uspokoiła się trochę.

— Dziękuję za taką przyjemność — rzekła, siadając na miękkiej, aksamitnej trawie — nie chcę znać Morskiego Oka, ani podobnych awantur.

— Będziesz czekała tutaj naszego powrotu?

— Wstydź się żartować jeszcze! — zawołała Bronka. — Dla czego nie przeprowadziliście mię dołem? Mogłam przecież przejść tędy? Pociście mię wleki na tę skałę?

— Ależ Broniu, to jeden z piękniejszych widoków w Tatrach.

Nie odpowiedziała, czuła się jednak w duszy pokrzywdzoną: piękny krajobraz sprawiał jej przyjemność wtedy, gdy mogła go oglądać z bezpiecznego miejsca.

Tymczasem zaczęto schodzić po dość łagodnej, miękkiej pochyłości góry, pokrytej aksamitną trawą. Nogi ślizgały się po tym kobiercu, stopy bolały od nienormalnego położenia, a końca góry ani widać.

— W zakosy idźcie, w zakosy! — nawoływali przewodnicy.

— Ach, chwilę odpoczynku na równym poziomie! — narzekała Brońcia.

— Usiądź i zjedz na dół — rzekł wesoło jej brat.

— Pewniebym usiadła, gdybym się nie bała, ale ktoby mnie wstrzymał potem, gdybym się zsuwać zaczęła zbyt szybko.

— Czekaj — rzekł Staś — masz pas mocny? No, to cię przepaszę sznurkiem i będę powstrzymywał. Dalej, jazda.

— Chodźmy naprzód — szepnął Janek — Brońcia strasznie przesadza ze swą obawą.

— Ja z wami — odezwała się też cicho Ańdzia. — Ja się nie boję. Zylabym tu w górach. Kocham niebezpieczeństwa. Uproszę mamę i pójdę do Morskiego na Rysy. Co za rozkosz pomyśleć sobie, że jedno złe stąpienie a spadnę w głębie bez końca, i zwyciężać te trudy i wdzierać się coraz wyżej, coraz wyżej, aż za chmury, do słońca, do samego nieba i świat widzieć u nóg, pod sobą!

Tadzio westchnął głęboko.

— My jeszcze nie byliśmy na Rysach — rzekł cicho.

— Na przyszły rok — odparł Janek z niemniej głębokim westchnieniem.

— Czemu? — spytała Ańdzia.

— Pić, pić — rozległy się za nimi głosy. — Zatrzymajcie tam chłopców, co pobiegli naprzód z tobołkami, słońce piecze, jakby nas chciało uwędzić.

Zatrzymajcie tam chłopców! łatwo to powiedzieć. Jak jelenie zbiegli z góry w zakosy, i zniknęli w kierunku drogi do

Roztoki. Znalezione ich dopiero pod Czerwonemi Brzeżkami. Siedzieli w czarnych jagodach, zjadając soczysty owoc, zarastający niezbyt łagodną pochyłość. Uczernili się przytem, jak małe potwory, ale miny rozkoszne mieli po tej uczie.

— Z pół godziny tu już jemy — przechwalali się zadowoleniem.

Przewodnik gniewał się na nich, że nie trzymają się razem, ale oni słuchając, nie tracili czasu i co chwila podnosili do ust pełne garście jagód.

— Ach, jak chłodno i miło w ustach — zapewniali.

Goście za ich przykładem rozproszyli się po krzakach i byłby znów spoczynek mimowolny, gdyby przewodnik energicznie nie zaczął naglić do pospiechu.

— Wszyscy nas wyprzedzili, przyjdziemy ostatni i miejscą w Hotelu nie będzie. W Roztoce i tak trzeba odpocząć z godzinę.

— Czy to miasteczko jakie, ta Roztoka? — ciekawie zapytała Brońcia.

Staś i Felek jednocześnie wybuchnęli śmiechem.

— Miasteczko o godzinę drogi od Morskiego! W sercu gór! Co ty wygadujesz, Bronka?

Ale Brońcia się obraziła i nie chciała słuchać objaśnień.

— To schronisko zapewne? — zapytała Ańdzia.

— Naturalnie, duże schronisko, gdzie i zanocewać można, bo jest kilkanaście łóżek. Ale każdą butelkę piwa przywożą tam na osiołku, albo koniu, jak widziałas nieraz, w drewnianych naczyniach. Ciężka praca nawieźć dla gości potrzebnej żywności.

W Roztoce Staś i Felek uparli się zwiedzić koniecznie dzisiaj wodospady Mickiewicza. Poświęcą te pół godzinki ze swego odpoczynku, a Brońcia niech zostanie pod opieką starszych. Ale Brońcia nie chciała i narzekając, jęcząc, poszła jednak za wszystkiemi.

Tymczasem słońce dawno skryło się za Mięguszowickie. kiedy podróżni nasi ostatnim wysiłkiem przebywali kamienistą i przykrą część drogi pod samym już jeziorem. Wszyscy byli zmęczeni, Brońcia z utęsknieniem upatrywała dachu zapowiedzianego schroniska, Ańdzia nawet szła cicho, mało zwracając uwagi na piękności otoczenia. A hotelu ani śladu, ani śladu jeziora. Czy nie dojdą już nigdy?

Nagle — tuż pod nogami dach, budynek piętrowy, a dalej w cieniu wieczornego zmroku, pod strażą wyniosłego Mnicha, ostrych Rysów i Miedzianego, cicho zasypia poważne jezioro, otulając się zwolna mgłą przejrzystą.

#### IV.

— Co teraz będzie?

Tadzio milczał zamyślony.

— No, mów, radź, odezwij się, co zrobimy? — wołał Janek, niecierpliwie chodząc po pokoju. — Licho wie, gdzie ich szukać. Zdaje się, że były, ale gdzie poszły dzisiaj? Czy wrócą tu jeszcze? Czy wprost do Zakopanego? Mieszkania nie zamówiły i szukaj wiatru w lesie! No, cóż? Czyś zanie mówił?

— Cóż ja ci poradzę? — odezwał się wreszcie Tadzio. Prawdę mówiąc, w tej chwili tak mi dobrze, tak miło, żem zobaczył znowu to czarodziejskie miejsce, iż nie żałuję niczego, niczego, nawet tego, że ich tu niema.

— Niedołęstwo — szepnął Janek, wzruszając ramionami.

— Przyznaj, Janku, że i ty rad jesteś z tej wycieczki?

— Rad jesteś! No, rad jestem; ale co teraz, dalej? Ojciec czeka, stryj czeka, a my tu jak głupcy w lesie. I żebyśmy wiedzieli chociaż, gdzie ich szukać. Ale skąd? Nikt nic nie wie.

— Ślimak mówił, że jutro wrócić mają z wycieczki.

— Mówił, mówił, ale czy wrócą? Nie cierpię takiej niepewności, niech raz wiem, co mam robić i na czem się to skończy.



## STRZELEC.

Czarne, spokojne patrzy Morskie oko,  
Góry go w koło obsiadły,  
A na gór szczytach daleko, wysoko,  
Deszczowe chmury opadły.

Nad brzegiem stawu kamienie sterczą,  
Świerkowe zielenią lasy,  
A pod skałami ogniska skwierczą,  
Przy ogniu siedzą juhasy.

Niżej po dołach z szumem się wali,  
Spieniona rzuca się woda;  
Dziarska jak dusza owych górali,  
Gdy w nich zakipi krew młoda.

Ludzie mówili, że z biesem trzyma,  
Nigdy pacierza nie mawia,  
Ni w chacie świętych obrazów niema —  
Ni się na odpust wyprawia.

Jeno się strzelbą lubi zabawiać,  
Bezbożne piosneczki śpiewać,  
Umie po górach kozy zamawiać  
I złego ducha wyzywać.

A gdy on nie chciał, to nikt już, panie,  
Żadnego zwierza nie ubił;  
Choćby nie wiem co, próżne staranie!  
Każdy źle mierzył, ślad zgubił.

Więc raz w niedzielę poszedł na górę,  
Nad owym stawem stojącą —



### MORSKIE OKO.

— A cóż, czy pójdziem dalej na góry?  
Rzekłem jednemu z górali.  
— Oho! nie pójdziem! na Mnichu chmury,  
Lepiej zostaniem na hali.

Więc przy ognisku usiadłem z niemi:  
Jeden na ogień nakładał,  
A stary juhas leżąc na ziemi,  
Różne mi wieści powiadał.

Byłci tu, rzeczce, strzelec nielada,  
Na dzikie kozy polował,  
Chłopcem pasł bydło u mego dziada  
I jakoś dobrze się chował.

Służył w żołnierce, a kiedy wrócił,  
Ze strzelbą po górach latał,  
Co on też panie, kniei przerzucił!  
A ile kozłów pozmiatał!

I nad tym stawem widział figurę,  
W jasnych promieniach chodzącą.

I zeszedł z góry... i patrzył zdaleka...  
Święta nań groźnie skinęła!  
I nagle z oczu strzelca górala  
Niewiada kędy zniknęła.

Widno mu karą Bożą groziła:  
Strzelec się w grzechu nie smucił —  
Pobiegł za kozą, noc się zrobiła,  
A on skąd wyszedł, nie wrócił.

T. I.





## WESELE KRAKOWSKIE.

Wartko wóz toczą parsające konie  
Mijają mostki i wzgórki i błonie.

(„Wiesław” Brodzińskiego).

Wesołą chwilę wybrał nieżyjący już dzisiaj malarz Lipnicki do swego obrazu: oto państwo młodzi, krakowiak i krakowianka wracają ze ślubu na ucztę weselną w otoczeniu družbów, druchen i sąsiadów. Konie mkną z kopyta, wóz za wozem toczy się szparko, w otoczeniu jeźdźców, muzyka brzmi na przedzie. Dzielny to lud ci krakowiacy, jak to mówią do tańca i do różańca, nawet własną swoją piosenkę i taniec wymyślili. Niedarmo śpiewają:

Wesół i szczęśliwy  
Krakowiaczek ci ja,  
A mój konik siwy  
Rażno się uwija.

## W OBŁOKACH I POD WODĄ

WYPRAWY „LATAJĄCEJ RYBY.”

opisał H. C.

(Ciąg dalszy).

Przy połączonem działaniu wiatru i maszyn, statek pędził w powietrzu z szybkością 27 węzłów na godzinę, a podróżni obliczali, że około 5 rano dosięgną przylądka Clear na wybrzeżu Irlandyi.

W ciągu dnia szybowali na wysokości 1000 stóp nad powierzchnią morza, tylko gdy raz jeden napotkali okręt, dla nie zwrócenia uwagi załogi, wzniesli się znacznie wyżej, zaraz potem jednak wracali do pierwotnej wysokości, która im dozwalała używać swobodnie czystego powietrza i obejmować wzrokiem czterdziestomilową przestrzeń.



WESELE KRAKOWSKIE.

Ale i do pracy umieją się garnąć równie ochoczo, znają się dobrze na koniach i uprawie roli, a wszędzie potrafią sobie dać radę.

Ubiór krakowiaka znany ogólnie, pełen jest powabu i smaku. Składają się nań: koszula z wąskim kołnierzem, związanym czerwoną wstążeczką, spuszczoną na spodnie i spiętą w stanie paskiem skórzanym z mosiężnymi kółkami. Buty długie o żelaznych podkówkach, doskonałych do krzesania ognia w tańcu. Czapka niska o czterech rogach z karmazynowem wierzchem i piórem pawiem obszyta czarnym lub siwym barankiem. Zwierzchnia sukmana czyli kerezya granatowa z kołnierzem i rękawami, wyszywanemi karmazynowym jedwabiem i kółkami mosiężnymi, dopełnia stroju.

Dziewczęta noszą włosy splecione w dwa warkocze, zakończone wstążką kolorową, gorsecik kolorowy i spódnicę po kostki. W czasie uroczystości wiejskich, przystrajają głowy w aksamitne lub lamowane złotem czółeczka, przybrane mnóstwem wstążek, a na szyję kładą sznury paciorek i koralu.

Nie zbywało im też na rozrywkach; woda morska w tem miejscu tak była przezroczystą, że mogli widzieć w znacznej głębokości uwijające się ryby, których znajdowało się mnóstwo w różnych gatunkach, a między niemi gromady delfinów i rekiny trzymające się pojedynczo.

Napatrzywszy się dowoli na tych mieszkańców morza, podróżni używali przechadzki po obszernym pokładzie, lub siedzieli wygodnie w fotelach, układając plany dalszej podróży.

Zauważyli też po pewnym czasie, że gdy chodzili po pokładzie, wytworzony przez ruch ich prąd powietrza, obniżał położenie statku, tak, iż wypadało przywracać równowagę. Profesor zaczął więc obmyślać środki zaradzenia temu i niebawem wymyślił przyrząd, utrzymujący statek na jednym poziomie, bez względu na ruchy znajdujących się na nim osób.

Do obiadu podróżni zasiedli z apetytem zaostrzonym świeżością powietrza morskiego, a następnie z pokładu rozglądali się po niebie zasianem gwiazdami. Około północy udali się na spoczynek do sypialni; pierwiej jednak profesor



zeszedł przekonać się o prawidłowym działaniu maszyn. Znalazszy wszystko w porządku, podniósł statek do wysokości 4000 stóp nad powierzchnią morza, zabezpieczając się tym sposobem od możliwego opuszczenia się i spotkania z okretami, a w kwadrans później cała załoga pogrążona była w głębokim śnie, podczas gdy „Latająca Ryba” zostawiona sama sobie, szybowała spokojnie ku północy.

Nazajutrz o świcie profesor pierwszy ukazał się na pokładzie, obudzony dźwiękiem świstawki parowej. Rozejrzawszy się uważnie dokoła, spostrzegł, że już lecieli w powietrzu ponad ładem stałym, w skutek bowiem silniejszego wiatru, prędzej niżeli się tego spodziewał, dosięgli wybrzeży Irlandyi. Karliński przypatrywał się okolicy dla zamiarkowania gdzie się znajduje.

Poranek był śliczny; niebo pogodne bez chmur, tylko mgła, niby biała lekka zasłona, rozpościerała się nad ziemią, utrudniając dokładne rozejrzenie się w miejscowości. Za jedyną wskazówkę służyć mogło tymczasem jezioro, znajdujące się opodal i szereg pagórków w stronie południowo-wschodniej. Profesor przypuszczał, że to były góry Macgilllicuddy's i jezioro Killarnay; w dali zaś zarysowywał się łańcuch gór Stack. Miasta, wsie, folwarki, samotne chaty rozsiane były dokoła, w stronie zaś południowej i północno-zachodniej, błyszczało zwierciadło morza, po którym pływały łodzie rybackie i statki nadbrzeżne.

Uradowany tym widokiem, profesor powrócił do kajuty, starannie drzwi zamykając, aby nie dopuścić zimnego powietrza i podniósł następnie „Latającą Rybę” do wysokości 35,000 stóp ponad poziom morza. Załatwiwszy wszystko, poszedł użyć kąpieli w łaźnicy.

Przy śniadaniu profesor zawiadomił towarzyszy, jak wysoko nad ziemią szybują; pobudziło to ich ciekawość i zaraz objawili życzenie udania się na pokład.

— Musicie w takim razie włożyć ubranie i przyrządy nurkowe — zauważył Karliński — inaczej nie moglibyście oddychać tak rozrzedzonym powietrzem, w jakim znajdujemy się obecnie. Nadto należy zabezpieczyć się od zimna; bez tego gotowicie zmarznąć na dobre. Z drugiej strony jednak warto widzieć płat świata na 460 mil angielskich obwodu.

Idąc za radą profesora, podróżni przywdziali strój i rynsztunek nurków, biorąc pod spód ciepłe flanelowe ubranie i tak zabezpieczeni wyszli na pokład. Trudno opisać wspaniały widok, jaki przedstawił się ich oczom. Niebo w górze miało ciemno szafirowy kolor, przybierając coraz bledsze odcienia ku granicom widnokregu; gwiazdy świeciły jasno jakby wśród nocy; słońce ogołocone z promieni wisiało na niebie na podobieństwo bani miedzianej, a nieodstępny od niego księżyc przeblyskiwał srebrzystym sierpem swoim na wschodzie.

Podróżni w zachwycie długo oczu nie mogli oderwać od nieba; skierowawszy je wreszcie po pewnym czasie ku wschodniej stronie, ujrzeni tam równie piękny widok. Statek ich przesunął się nad odnogą morską, w której pułkownik, dokładnie znający Irlandyę, poznał zatokę Dingle. Nagle baronet zapytał:

— Czy to złudzenie tylko, lecz zdaje mi się, jakbyśmy się opuszczali w stronę zachodnią ku morzu?

— Tak, prawda! — odparł profesor; — przebywamy stręgę zmiennych wiatrów i statek nasz wystawiony jest obecnie na wpływ przeciwnego prądu, ciągnącego od północy. Tymczasem musimy przyspieszyć ruch „Ryby”, radzę więc wrócić do kajuty.

O 11-ej rano „Latająca Ryba” przeleciawszy nad Irlandyą, znalazła się nad Atlantykiem.

— Musimy teraz uradzić stanowczo, jaki kierunek obrać mamy — rzekł profesor do towarzyszy.

Wszystkie drogi stoją przed nami otworem, na dwie jednak głównie zwróć uwagę waszą. Pierwsza prowadzi do bieguna przez Islandyę, wyspę Jana Mayen'a, między Granlandyą a Szpicbergiem, ku mało znanym dotąd stronom Łodowatego morza. Druga jest zwykłą drogą wypraw śmia-

łych podróżników do bieguna; dążą oni ku wolnemu morzu podbiegunowemu, jeśli takie morze istnieje — przez cieśninę Dawis, odnogę Baffińską i kanał Kennedy. Trzymając się pierwszego szlaku mielibyśmy sposobność zwiedzenia wschodniego wybrzeża Grenlandyi; na drugiej drodze napotykać będziemy miejscowości, w których odnajdziemy ślady pobytu poprzedników naszych w podróży na północ. Na którąż z tych dwóch dróg wybór nasz padnie?

Pułkownik i Mildmay spoglądali na baroneta, do którego jako właściciela „Latającej Ryby” rozstrzygający głos należał.

— Co do mnie — odezwał się sir Reginald po chwili zastanowienia — wybrałbym drogę poprzedników naszych; radbym przekonać się o trudnościach jakie mieli do zwalczania, widzieć miejsca, gdzie się chronili przed mrozem, w ciągu ostrej i długiej podbiegunowej zimy, poznać przeszkody przed którymi ustąpić byli zmuszeni.

— Głosuję także za kierunkiem obranym przez baroneta — wtrącił Mildmay — ale przedewszystkiem chciałbym posłyszeć zdanie profesora w tym względzie; on, jako człowiek oddany wyłącznie badaniom naukowym, objaśni nas najlepiej, która z tych dróg więcej budzić może zajęcia.

— Z punktu widzenia naukowego — odparł Karliński — obiedwie te drogi zarówno są ciekawe do zwiedzenia, mimo to są powody, dla których skłonny jestem popierać wybór przez sir Reginalda uczyniony.

— Kwestya zatem rozstrzygnięta — oświadczył pułkownik — nie będziemy niewątpliwie żałowali drogi naszej.

Skierowano zatem statek w stronę północno-zachodnią, ku przyładkowi Farewell.

Przez godzinę jeszcze „Latająca Ryba” utrzymała była na poprzedniej wysokości, ale około południa, gdy już nie potrzebowano obawiać się spotkania z innym okrętem, opuszczono ją w dół na 1000 stóp nad poziom morza, aby podróżni znowu korzystać mogli z przyjemniejszej atmosfery i łagodnego wiatru.

Po 3-ej godzinie z okien kajuty spostrzeżono trzy niezbyt wielkich rozmiarów lodowce, a jednocześnie zauważono na południowym krańcu horyzontu duży parowiec, płynący od wschodu. Z pomocą lunet podróżni poznali, iż to był statek używany do połowu wielorybów. Z odległości dwunastu mil angielskich, widzieli dokładnie najdrobniejsze szczegóły, rozróżniali nawet twarze majtków, uwijających się na pokładzie i chłopca na bocianiem gnieździe, ludzie zaś owi przeciwnie, zdawali się nie dostrzegać „Ryby”. Profesor tłumaczył to bezbarwnością pudła ich statku, które świeciło tylko wtedy, gdy promienie słońca wprost odbijały od niego.

Zanim spotkany okręt znikł im z oczu, uwagę podróżnych zajęły lodowce piętrzące się od strony zachodniej, a wkrótce potem wielka ilość brył lodowych, która zapowiadała, że już się zbliżają do cieśniny Dawis.

O 6-ej, gdy na głos dzwonu mieli już iść do sali jadalnej, Mildmay ujrzał przez okno na dalekim horyzoncie bladoniebieskawy obłoczek i zaraz, jako doświadczony marynarz, zawołał z radością:

— Ziemia!

— Bardzo być może — rzekł profesor, spoglądając na zegar i biorąc za lunetę.

— Masz słusność, Mildmay'u — dodał po chwili, zbadawszy ów obłoczek niebieskawy. — Jest to przyładek Farewell, punkt najwięcej ku południowi posunięty tej wielkiej „terra incognita”, zwanej Grenlandyą. Jeśli zgadzasz się, sir Reginaldzie, to zwołnie bieg statku do dwudziestu mil ang. na godzinę, sądzę, że gdy po obiedzie przejdziemy na pokład, będziemy mieli widok godny podziwu.

(d. c. n.)



Marya Łopuszańska.

# OBROŃCY BOGÓW

Powieść na tle dawnych legend.

(Dalszy ciąg)

— Bądźcie pewni — odrzekł Ładon z uśmiechem — że nie spełnili waszego żądania dla tego tylko, iż was nie pojęli, bo gdyby zrozumieli, iż tak wysoka osoba jak margraf, nie może się obejść bez swego dworzanina, puściliby was niechybnie.

— I ja tak myślę — rzekł Kurtz poważnie. — Ale możebyście wy im to wytłómaczyli.

— Postaram się, ale nie wiem czy stary kneź będzie zwał na tak ważną przyczynę bo to człek nieokrzesany i mało dbający o wielkiego margrafa.

— Powiedźcie mu więc — zawołał podczaszy, nabierając stopniowo coraz większej pewności siebie, prostując swą grubą osobę — powiedźcie mu, że mój pan, Herman, margraf Miśni straszny jest gdy się na kogo rozgniewa, i że mścić się będzie okropnie za porwanie swego ulubionego podczaszego. Nie wiem nawet jakim sposobem nie rozpoczęto dotąd poszukiwań. Przecie to nawet dla samego króla i dla całej waszej krainy będzie źle — dodał z zarozumiałością — gdy się mój pan rozgniewa.

Ładon nie mógł już dłużej patrzeć na pyszałkowaną minę grubego podczaszego, i zawołał zniecierpliwiony:

— Czy sądzicie naprawdę, że knezia wasz margraf obnodzi choć trochę? Czy wy, Niemcy, myślicie w zarozumiałości swej, że i u nas jesteście panami, jak tam, nad Elbą? A niech przyjdzie wasz margraf i spróbuje czy zębów nie połamie na kamiennym gródku.

Kurtz otworzył usta szeroko.

— Na Boga — wyrzekł wreszcie, przecie ja nie sądziłem, że się tak urazicie za tego knezia-rozbójnika, który i was uwieźił przecie...

— Nie urażam się za niego, ale nie mogłem słuchać spokojnie, gdyście gadali tak, jak gdyby losy ziemi naszej od tego zależały, że margraf Herman utracił jednego grubego dworzanina! — zawołał Ładon, tracąc już cierpliwość.

— O — zawołał Kurtz urażony — gruby dworzanin? A cóż to, czyż to ja jestem jakiś nicpoń, że się o mnie tak dzywacie? Jam przecie pierwszy podczaszy margrafa!

Gdy to mówił, drzwi się otwały i wszedł Drahomir. Spojrzał dokoła siebie.

— Co to za człówek? — spytał, wskazując na Kurtza.

— Dworzanin margrafa Hermana — objaśnił Ładon.

A więc to Niemiec? — rzekł pogardliwie Drahomir.

— Tak — odparł Ładon. — Powiedział mi, że król nasz wyrusza na wojnę.

Drahomir popatrzył w milczeniu na Kurtza, który przerażony jego wejściem, stracił zupełnie niedawną, butną minę i wcisnął się w najciemniejszy kąt świetlicy.

Drahomir machnął ręką w końcu.

— Możemy mówić — rzekł — ten niemy pies pewno nie rozumie ani słowa z mowy naszej.

— Nie mylisz się — odparł Ładon — on nie a nie nie rozumie.

Młody kneź milcząc, usiadł na ławie pod ścianą; Ładon zaś pozostał przy oknie, patrząc w dolinę. Zaden z nich jakoś nie spieszył się z rozmową, bo i jeden i drugi zajęty był swymi myślami.

Drahomir starał się usilnie osładzać niewolę przyjacielowi i wymógł nawet na ojcu, by mu było dozwolono chodzić swobodnie po gródku, wzięwszy tylko słowo od Ładona, że nie będzie próbował uciezki. Codziennie też przychodził do niego, i rozmawiali obaj długo w zaufaniu przyjaźni; lecz tym razem rozmowa nie kleiła się jakoś.

Ładonowi wciąż nie wychodziła z głowy myśl o wojnie; dusza jego była tam, wraz z królem i wiernymi towarzyszami broni.

— Oni tam biją się — mówił do siebie, patrząc w dal, jakby widział przed sobą wszystkie wywoływane w myśli obrazy, król sam wiedzie nasze rycerstwo, by rozbijało niemieckie szyki; wojewoda Nawoj pewno prowadzi lekką konnicę i pędzi naprzód bez pamięci. Król go zawsze posyła, gdy trzeba gdzie nagle wpaść wrogom na karki, bo do tego on najlepszy. Ach, gdybyś ty wiedział — zwrócił się do Drahomira — jak on umie zręcznie podejść, by później uderzyć jak piorun, zniemacka! Ale czyż warto mówić o tem — dodał z westchnieniem, gdy tam być nie mogę z nimi.

Drahomir uśmiechnął się lekko:

— Jeszcze będziesz w niejednej wyprawie wraz z królem — rzekł; — nie żałuj więc zbyt czasu tu spędzonego. Wierz mi, pragnąłbym całym sercem by ci nie było zbyt nudno u nas.

— Ja wiem, żeś ty dobry — rzekł Ładon z wdzięcznością — ale sam to pojmiesz, że ciężko siedzieć w niewoli, podczas gdy inni biją się i zwyciężają...

— Czy zwyciężają, to jeszcze niezbyt pewne — odrzekł Drahomir — może im tam ciężko przychodzi, bo słyszałem, że połabskie ludy, na których pomoc król liczył, zdradziły go.

Mówiąc to, mimowoli uczuł się jakby zmieszany, spotkawszy się ze wzrokiem Ładona, bo zdawało mu się, że każdy już czyta w jego oczach zamiary zdrady, jaką zamyslał ojciec.

— Skądże wiesz tak dobrze o wszystkim? — spytał Ładon zdziwiony.

— Mam takich co nam donoszą — odparł Drahomir krótko.

Nastąpiło znów milczenie, aż wreszcie młody kneź ozwał się posępnie:

— Powiadasz, że cięży ci niewola, a jednak, wiedz o tem że, są położenia stokroć gorsze od niej.

Ładon potrząsnął głową.

— Ty nie wiesz — rzekł Drahomir z jakąś goryczą w głosie — że my jako potomkowie dawnych książąt powinniśmy mieć wszystko albo nic; tak mię przynajmniej uczył ojciec, nie wiem czy dobrze czy źle. Wiem tylko, że żyjemy jakoś inaczej jak reszta ludzi, tak jak przed wiekami chyba żyli dziadowie... Gdym brał udział w owej wyprawie na Pomorców, oczy mi się otworzyły i przekonałem się o tem do wrodnie. Poznałem, że można żyć inaczej niż w gródku rozbójniczym, inaczej się odznaczać niż napadami na kupców wędrownych, że na dwór królewski nie cisną się, jak mi mówił ojciec, sami nędzni słudzy, pochlebcy i zausznicy, ale najporządniejsi rycerze z czterech stron świata, poznałem to, i odtąd nasze dawniejsze życie mi zbrzydło. Widzę jasno teraz, że wszystko tu dokoła jest starem, spróchniałem i dłużej utrzymać się nie może, że teraz nowy świat nastał, a my w nim jesteśmy jakby upiory. Ale nie mnie sądzić czynności mego ojca; w jego oczach my właśnie żyjemy szlachetnie i po książęcemu, jak dziadowie nasi żyli, inni zaś, to tylko motłoch służalczy. — Niech i tak będzie; z kneziem Mszczujem sprawa nie łatwa, on ma dłoń żelazną, pod którą się wszystko ugnie. Żyjmy więc po kneziowsku, jakośmy żyli — rozbijajmy po kneziowsku, aż wreszcie padniemy, ale także po kneziowsku!

I zaśmiał się z goryczą.

Ładon wstał i zbliżywszy się doń w milczeniu, ze współczuciem ucisnął mu rękę.

## XII.

Przy Ładonie i Kurtz nie ponosił zbyt ciężkiej niewoli; mógł nawet chodzić po gródku swobodnie, bo wiedziאו, iż gruby podczaszy nie spuści się z tej strony skały.

Ludziom knezia służył on zawsze za cel pośmiewiska; gdy się ukazał, natychmiast ze wszech stron powstawały śmiechy i okrzyki. Kurtz z pogardą patrzył na to ze szczytu swej



godności i nie raczył zwracać uwagi na drwiny nieokrzesanych gburów słowiańskich. Trzymał się wciąż Ładona, widząc w nim jedyną obronę i nieraz go dobrze zdruzdził i zniecierpliwiał gadaniną. Aby uciec od niego Ładon szedł do stajni popatrzyć i popieścić wiernego konia. Spoglądając na swego siwego, wzdychał do chwili, kiedy znów na nim puści się w świat szeroki. W stajni knezia zwykle znajdował się stary niewolnik, imieniem Łyszczak, używany do najniższych posług w gródku, za co mu nikt nie dał dobrego słowa. Wiecznie też był zgięty, pokorny, niekiedy tylko pozwalając sobie zamruczeć coś pod nosem, gdy zamiatł podwórze lub czyścił stajnię; to była jedyna jego pociecha, bo zresztą życie jego było ciężkiem, bo zrzucano nań wszystko, co kto miał najtrudniejszego do spełnienia, a w nagrodę za to żywił się prawie wspólnie z psami knezia. Pierwszy Ładon odzwał się doń po ludzku, czem go tak sobie ujął, że zawsze odwał, gdy wszedł do stajni, zbliżał się doń, mówiąc po cichu:

Widzicie jaki wasz koń teraz? O, bo ja o nim pamiętam, zawsze mu najlepiej jeść dają. Ale tylko cicho, żeby tamci nie słyszeli — dodał, oglądając się poza siebie — oni wszyscy na mnie.. Bądźcie jednak spokojni, o koniu będę pamiętał, choćby mię zjeść mieli. Hej, hej, kiedyś to i ze mnie był jeździec niezgorszy, gdym z kneziem naszym na wyprawę chodził. Ale minęły już te czasy... teraz jam chyba zdolny stajnię tylko zamiatać.

I z głębokim westchnieniem brał się znów do jakiejś roboty.

Raz Ładon z nudów wdał się z nim w dłuższą rozmowę. Łyszczak rad, że może wspomnieć dawne czasy, począł opowiadać jak to on nieraz walczył przy boku knezia i raz nawet mu życie ocalił w boju.

— I tak o tobie zapomnieli teraz? — spytał Ładon, patrząc na niego z litością.

— A cóż, przecież szkapa, gdy się postarzoje, idzie brony włóczyć, choćby była dawniej wierzchowcem bojowym — rzekł Łyszczak z rezygnacją — taki już porządek na świecie, cóż robić? Tacy młodzi, jak wy, tego nie pojmują, ale ja stary dobrze wiem, że inaczej być nie może. Przecie jeśli należę do knezia, to powinienem bronić jego życia — czyż nie tak? A zachcieliście żeby on tam jeszcze o mnie pamiętał, jakby miał mało na głowie... Czy mi tam długo jeszcze żyć — dodał, machnąwszy ręką.

— Nasz kneź — ozwał się po chwili zamyślenia, a w głosie jego czuć było bojaźń zmieszana z dziwną jakąś czcią i przywiązaniem; ho, ho, nasz kneź był zawsze takim, jak teraz, ani troszkę się nie zmienił. Bywało, gdy spojrzy na kogo okiem srogim, to pod ziemię byś się schował ze strachu. Najodważniejsi drżeli przed nim, bo też strasznie karał najmniejsze nieposłuszeństwo. Hej, co tu się nieraz działo w tym gródku — dodał, głos zniżając i oglądając się poza siebie — ściany te niejedną rzecz straszną widziały. A w tych lochach co są pod wieżą, co tam ludzi jęczało i pomarło.. i nikt o nich nie słyszał później. Tak to, tak bywało u nas. O, gdy kneź się na kogo rozgniewał — mówił

dalej Łyszczak półgłosem — to już niema dla niego zmiłowania ni ratunku, a żadnej urazy nie przepuścił, lecz mścił się strasznie. Pamiętam noc ową, kiedy to ze swą drużyną zbrojną, kneź najechał gródek owego władcy Jaromira, do którego miał jakąś urazę; wszystkich co do jednego wyrzucił kazał i sługi i panów...

— I nikt nie ocalał? — zawołał Ładon.

— Powiadają — gadka taka krąży między ludźmi — że jeden stary sługa uszedł, unesząc z sobą najmłodsze dziecko swego pana ale co się z nimi stało, nikt nie wie, przepadli jak kamień w wodę.

Wejście kogoś ze służby przerwało ową rozmowę; Łyszczak pobiegł spiesźnie do roboty, a Ładon odszedł do dworu, gdzie już na niego czekał Kurtz, zdruzony jego długą nieobecnością.

Uwagę Ładona zwrócił także stary kneź Odylon, który jak mara wciąż snuł się po gródku; obcy wszystkiemu co się dokoła niego działo, nie mówił ani słowa do nikogo; niekiedy tylko, gdy był sam, z ust jego wybiegały jakieś tajemnicze wyrazy, na pozór bez związku, lecz nikt na nie nie zważał, ani im się przysłuchiwał.

W gródku bowiem od niejakiego czasu był wielki ruch, oddziały zbrojne wjeżdżały i wyjeżdżały zeń codziennie niemal. Kneź Mszczuj był bardzo czynnym, wszystkiego sam doglądał, zawsze z twarzą jednako surową i nieprzeniknioną.

Raz, gdy Ładon rozmawiał jak zazwyczaj z Drahomirem, a Kurtz również siedział tam, gdzieś w kącie izby ukryty, we drzwiach stanął niespodzianie kneź Odylon. Obrzucił izbę wzrokiem, i oko jego padło na Kurtza.

— Niemiec! — zawołał, a wzrok jego zabłysnął dziwnym ogniem. Niemiec, Niemiec! Czego on tu chce, czy znów nieszczęście ma przynieść?

— Drahomirze — zwrócił się do młodego knezia — skąd tu się wziął ten ptak złowróżbny? Jak mogliście wpuścić w dom niemieckiego wilka? On nam znów nieszczęście przyniesie, ja to czuję; nieszczęście spadnie na ten dom!

Usiadł przy ognisku, oko jego utkwione było w płomień, usta poruszały się; widać było, iż zapomniał znów o tem co go otaczało i zagłębił się w wspomnieniach.

— Dzieci, dzieci — ozwał się wreszcie do siebie półgłosem — i wartoż to je chować, trząść się nad nimi. Gdy urosną, gdy mają być pociechą twej starości, zabiją ci je. O tak, ciesz się, ciesz twoim pierworodnym, niewiasto szalona! Będziesz ty go pieściła, tuliła jak gołąbka, wychowasz pięknego i silnego, aby był pociechą twoją, a wówczas Niemcy ci go wezmą lub zabiją!

Można było myśleć, że zwraca się do kogoś stojącego przy nim, słowa jego stawały się coraz wyraźniejsze.

(d. c. n.)

#### PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

W Austrii kwartalnie zlr. 1 cent. 75 (3<sup>1</sup>/<sub>2</sub> korony). — W Prusach: kwartalnie mar. 3.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Pierwsza próba konnej jazdy (rycina). — Sto lat temu nad Nilem. — Bez przewodnika (z ryc.) Strzelec, wiersz. — Krakowskie wesele (z ryc.) — W obłokach i pod wodą, wyprawy „Latającej ryby.” opisał H. C. — Obrońcy bogów, przez M. Łopuszańską. — Dodatek: Wacjo dentystą (z ryc.) — Imieniny zajęczka — Dług wdzięczności, przez Zofię Rudnicką. — Zamigłówki i rozwiązania. — Skrzyńka do listów. Dodatek książkowy: Wspomnienia Haliny, przez Julię Piasecką.



## WACIO DENTYSTA.

Wacio i Irenka mieli bardzo dobrego wujaszka, który przyjeżdżając każdego roku na święta Bożego Narodzenia przywoził im śliczne książki i zabawki, opowiadał ciekawe historyjki i bawił się z niemi, jakby był ich rówieśnikiem. Tym razem przywiózł Waciowi pudełko z narzędziami stolarskimi, a Irence prześliczną lalkę z długimi jasnymi włosami, szafirowymi oczkami i czerwonymi ustami, które ukazywały rząd białych i równych ząbków. Dzieci były uszczęśliwione, Irenka lalki z rąk nie spuszczała, a Wacio ciągle coś majstrował i psocił swemi narzędziami; to naciął w dwóch miejscach toaletę mamy, sheblował polityrę z komody, gwoździ nabijał w podłogę, a chociaż często usłyszał ostre połajanie i poprawę obiecywał, wkrótce o tem zapominał, i broił na nowo.

Najbardziej korciły Wacia obcegi; takie były zgrabne, mocne, stalowe, a nie miał sposobności użycia ich ani razu. Chciał powyciągać świeczki ze ściany, na których wisiały fotografie w pokoju mamy, ale bał się kary, bo ojciec zagroził, że w razie uszkodzenia jednego jeszcze mebla lub ściany, na czas długi odbierze mu wszystkie narzędzia.

Razu jednego, widząc jak Irena układa lalkę do łóżka i przemawia do niej jak do chorej, przyszedł mu do głowy pomysł całkiem nowy, zbliżył się do siostrzyczki i rzekł:

— Słuchaj Irenko niech twoją lalkę zęby bołą, a ja będę udawał dentystę. Irence oczy błysnęły zadowoleniem:

— Ach! jak to będzie zabawnie — zawołała. Czempredziej starannie ubrała lalkę włożyła czepeczek na głowę i poczęła perswadować, że raz nareszcie trzeba skończyć z tym nieznośnym zębem, który od trzech dni dokucza biednej córeczce, zalecała jej przytem odwagę i cierpliwość, gdy przyjdzie doktor. Wacio tymczasem ubrał się, jak przystało jego powadze doktorskiej w kapelusz ojca, do kieszeni włożył potrzebne instrumenta i zapukał do drzwi swej nowej pacjentki.

— Panie doktorze — rzekła Irenka wychodząc na jego spotkanie z lalką na ręku, moją córkę ząb bardzo boli, trzeba jej go wyrwać, albo zaplombować.

— Wacio założył na nos okulary z zakręconej śpilki podwójnej i popatrzał w usta lalki.

— Trzeba wyrwać dwa zęby, zawyrokował.



— Ha, jak trzeba, to trzeba, westchnęła Irenka.. ale nie wyrwij naprawdę dodała ciszej.

— Nie bój się mam gumę arabską to choć wyrwę, przykleję go później.

— Czy tylko napewno?

— Spuść się na mnie! — powiedział z takim przekonaniem, że Irenka uspokoiła się, pełna wiary w sztukę brata.

— Proszę siedzieć spokojnie, najprzód ząbek znieczulę, a później wyrwę bez żadnego bólu. To mówiąc wyjął z kieszeni butelkę, w którą nalał poprzednio trochę terpentyny i wypróżnił ją w otwarte usta lalki. Większa część tłustego płynu wylała się na błękitną jej sukienkę, Irenka przecież zajęta przemawianiem do lalki czułemi wyrazami nie zauważyła tego. Wacek tymczasem zbliżył obcegi, pochwycił ząb tak głęboko i silnie, że głowa lalki wydała jakiś dźwięk szczególny, a Irenka uczuła, że się coś jakby rozsunęło pomiędzy jej palcami, spojrziała i zbladła: w obcęgach Wacia został wraz z zębem kawałek policzka lalki. Dziewczynka rozplakała się wołając: Coś ty zrobił Waciu, coś ty mi zrobił!

Wacio się zmieszał i zaniepokoił.

— Ja przecie nie chciałem, żeby jej głowa pękła i nie jestem winien, że ma taką słabą głowę, ty sama zgodziłaś się, żebym jej ząb wyrwał. Każdemu doktorowi może się zdarzyć wypadek.

Ale Irenka nie słuchała tego tłumaczenia, coraz głośniej zanosząc się od płaczu. Nadbiegła mama, przyszedł ojciec, a Irenka wśród łkań opowiedziała całe wydarzenie.



— Zasłużyliście oboje na karę za taką nierozsądną zabawę, odezwał się ojciec surowo. Ty Irenko, nie powinnaś się była zgodzić na taką niemądrą zabawę, znasz Waciu i wiesz jak wszystko psuć umie, ale nigdy nic nie naprawi, a choćby mu się to udało, to i tak rzecz naprawiona nigdy całej nie zastąpi. Ale ty i tak ukaraną jesteś dostatecznie, Waciu zaś zasługuje aby mu zabrać zabawkę, której używa tylko do psucia i niszczenia wszystkiego, oddasz mi więc wraz z pudełkiem wszystkie narzędzia. Jeżeli w ciągu tego roku poprawisz się i podobnych figłów płatać nie będziesz oddam ci wtedy pudełko. Irenka tutaj mniej zawiniła, niż Wacek, jeżeli więc będzie grzeczną i posłuszną, za dwa miesiące, to jest w dzień swych imienin może się spodziewać nowej głowy dla swej lalki.

Irenka sprawowała się wzorowo i nim jeszcze śniegi stopniały uszczęśliwiona piastowała naprawioną lalkę z buzią jak dwie krople wody podobną do poprzedniej. Waciu czeka końca roku, miejmy nadzieję, że i on powróci do posiadania swych narzędzi i używać ich będzie nie do płatania karygodnych psót i figłów, ale zostanie porządnym majstrem i wyrabiać będzie skrzynki, wózki i taczki dla siebie i swej siostrzyczki.

## IMIENINY ZAJĄCZKA.

(Dokończenie).

A zajączek uśmiechnął się dziwnie, wzajem głową skłoniwszy, rzekł sztywnie: Przykro słyszeć, że w me imieniny, takie smutne niesiecie nowiny. Cóż poradzić wam mogę? za późno na przestrożę, trudno oddać wet za wet, a pogrzebu nawet już sprawić nie możecie, gdy ich zjedli w sekrecie! Ha więc chyba zapijmy tę sprawę. Oto grono już gości łaskawe, w mej kotlinie zasiadło do stołu; jedzmy z niemi i pijmy pospołu. „I tak jeszcze zajączek powiada:” „Czem chata bogata tem rada”.

A na te słowa jeż, co był łakomy zwierz, zapomniawszy, że on nie wieszak, zaraz naprzód się sam wysforował i na czele nielicznej gromadki, do zajęczej skromnej zdążył chatki.

Ale nagle, o dziw! chyba cud to prawdziwy, w małej chatce pospołem siedzą sobie za stołem: Wszędobylsia, Wszystkogryzia kochana, co być miała przez kanię porwana i króliczek, śnieżny Białopuszek, który nawet nie postradał uszek — wszyscy razem przy stole zasiedli; obiad smaczny u zajęca jedli!

I cóż się okazało? że dziś, gdy dniało, zerwali się wszystko troje, nie czekali na nikogo, lecz przywdziewszy piękne stroje, mokrą jeszcze z rosy drogą, do zajęczka poszli razem, z szczerych życzeń swych wyrazem.

Wiele krzyku, śmiechu było, gdy się wszystko wyjaśniło — a zajączek aż z radości ścisnął w koleżki wszystkich gości. Wnet do stołu ich zaprosił i półmiski sam obnosił. A były tam przysmaki, każdy nie byle jaki!

Wszyscy goście chrupali, aż nóżkami tupali. A jeż, gdy się najadł do syta, zwinął się w kłębek — i kwita!

Tak wśród przyjaciół drużyny, odbyły się imieniny.  
Zajączek.

## DŁUG WODZIĘCZNOŚCI

przez

Zofię Rudnicką.

(Dalszy ciąg)

I tak rozpoczęło się dla Janka życie twarde, nędzne, wyczerpujące jego młode siły. Całą jego pociechą była modlitwa, którą w południe, w chwili odpoczynku odmawiał, upatrzwszy sobie rozłożyste drzewo gałęziami sięgające ziemi; to była jakby jego kapliczka, tu klękał zasłonięty spuszczonej gałęzią przed okiem ludzkim i całą mękę swoją, całą tęsknotę i ból serca przelewał w słowa modlitwy. Może tą właśnie gorącą modlitwą wyprosił łaskę u Boga, że na noc przynajmniej nie rozdzielano go z jego opiekunem, poczciwym Skałką. Sypiali obok siebie na jednym barłogu, jak pierwszej nocy. Po kilku dniach tej smutnej wspólnej niedoli, widząc jak Janek był w nocy nawet umęczony kajdanami, niedozwalającymi mu ruchów wolnych, jednej nocy, Iwan począł próbować czy delikatne, wąskie nogi obłopca nie dadzą się przesunąć przez pierścienie, opasujące je. Długo, na różne sposoby próbował nadaremnie, aż wreszcie udało mu się zsunąć kajdany z nóg Janka. Cóż to była za radość dla obu!

— Lecz gdy strażnik przyjdzie nas rano budzić do roboty, coż powiemy? — zapytał z trwogą Janek.

— Przededniem włożę ci je tak, jak zdjąłem — odpowiedział wieśniak.

Od tej pory przynajmniej parę godzin na dobę miał Janek swobodnych.

Dni wlokły się jednostajnie, ciężkie w pracy nadmiernej, w tęsknocie za swoimi i za krajem. Z dni tych smutnych złożyły się miesiące, przyszła zima, nie przynosząc zmian żadnych dla naszych znajomych. Ciepły południowy klimat nie przerywał prawie robót, głębokimi rowami i murami otaczano jeden za drugim ogrody baszy; przeważnie niewolnicy zabrani w jassy lub kupieni jak Janek i Skałka, pracowali przy tych robotach, była także i część Tatarów najemnych.

Powróciła wczesna i piękna wiosna, a z nią jakby jakaś nadzieja wstępowała w serce Janka. Goręcej się modlił, głębiej ufał, że w końcu modlitwy jego wysłuchane będą. Anioł Stróż prędzej może po jasnych wiosennych promieniach słonecznych, zanieś je przed tron Boga i uprosi mu łaskę.

Jednego dnia, gdy chwilę przystanął, by otrzeć czoło uznojone potem i rozejrzeć się choć raz w koło po wiosennem niebie, spostrzegł to strażnik znajdujący się w pobliżu; przyskoczył z krzykiem i podniósł na Janka



bat, którym nieraz nielitościwie smagał biednych niewolników. Janek dotąd nie zasłużył nigdy jeszcze, na to bolesne upomnienie, zdrzął na myśl, że może się stać także ofiarą twardego serca tego zbira.

Bat zaświstał już nad głową; ale w tejże chwili nim opadł na plecy Janka, nieludzki dozorca został pochwycony za rękaw od szerokiego kaftana, przez rączkę dziewczątka, dziesięcioletniego może, które z przerażeniem krzyknęło. Stało się to tak nagle, tak w jednym mgnieniu oka, że Janek nie wiedział nawet skąd się tu wzięła dziewczynka. Ona tymczasem, ochłonawszy widocznie z przestachu, tupnęła energicznie drobną nóżką, obutą w drewniany trzewiczek i z dumą wyniosłą, rzekła:

— Nie waż się odtąd nigdy tknąć tego chłopca, bo zażadam od ojca, by cię natychmiast zakuć kazał w kajdany i wtrącić do ciemnicy!

Dozorca opuścił bat, złożył ręce na krzyż na pierśiach, pochylając głowę i zgiął się pokornie we dwoje.

Janek zdziwiony patrzył na tę scenę, a gdy podniósł oczy na swoją wybawicielkę, zdawało mu się, że widzi anioła przed sobą. Miła, choć obca twarzyczka dziewczęcia, tak różna od otaczających go już od dawna, samych groźnych i nieprzychylnych twarzy, przypominała mu swoją słodczą twarz przybranej jego siostrzyczki Hani, która tam, w kraju, daleko, chowała się pod okiem jego matki.

Mimowoli postąpił krok naprzód, ale wstrzymał się, gdyż w tej chwili nadbiegła drobnymi kroczkami, stukając drewnianymi pantoflami, starsza jakaś Turczynka, cała zakryta białymi muślinami tak, że tylko oczy jej świeciły się z za zasłony, a świeciły gniewem, niepokojem i niecierpliwością. Z daleka już wołała:

— Zulejka! Zulejka! co ty wyrabiasz? o, ja nie-szczęśliwa! nam tu nie wolno przychodzić, wiesz przecie! Nie mogła mówić więcej, zdyszana z gwałtownego biegu.

Dziewczynka śmiała się.

— Ja też nie przyszedłem, tylko przybiegłem, by się schować przed tobą i przybiegłem w samą porę, bo ten niedobry dozorca byłby już uderzył tego biednego chłopca — kończyła, krzywiąc usta jakby do płaczu.

— Ależ chodź, Zulejko, chodź stąd prędko, co ciebie obchodzą niewolnicy? chodź, nim cię tu kto zobaczy — wołała przestraszona Turczynka, odciągając dziewczynkę, za szeroki rękaw powiewnej niebieskiej jej szaty, bramowanej złotem.

Ale mała opierała się energicznie, a zwróciwszy się do Janka, zapytała:

— Dawno tu jesteś u nas?

Janek rozumiał już mowę turecką i nawet mówił niezłe tym językiem.

— Od pół roku — odpowiedział.

— Z jakiego kraju jesteś, niewolniku?

— Z Polski.

— Czy zawsze pracujesz w kajdanach?

— Zawsze.

— To źle, bo ci ciężko, żal mi ciebie!

Janek spojrzał znowu na dziewczynkę, lzy wdzięczności błysnęły mu w oczach!

Tymczasem stara Turczynka rozpaczliwie ciągnęła,

prosiła i namawiała małą do powrotu. Zulejka raz jeszcze odwróciła główkę i zawołała:

— Uspokój się niewolniku, pomyślę, by ci lepiej było — a zwracając się do dozorca, dodała:

— Nie broń mu odpoczywać, gdy jest zmęczony i ani go tknij! — pogroziła mu zaciśniętą pięścią.

Zniknęła w zaroślach. Dozorca teraz dopiero opuścił ręce, gdyż cały ten czas trzymał je skrzyżowane na pierśiach. Janek poznał po tej pokorze, że to dziecko litościwe jest córką samego baszy, ale nie wiedział, że jest ukochaną jedynaczką, że stary basza spełnia wszelkie jej zachcianki i kaprysy z uległością i pośpiechem, byle tylko widział zawsze uśmiech na jej drobnych usteczkach. Janka przejęło rzewne uczucie na myśl, że serce czyjeś uderzyło litością dla niego, że przemówił ktoś do niego jak do człowieka; uczuł się temi słodkimi słowami wzmocniony, sił mu przybyło, ohotniej podjął swoją ciężką pracę. W południe ukrył się pod swoje drzewo — do swego jak w myśli nazwał, — kościoła, padł na kolana, modlił się gorąco, dziękował Bogu za tę pomoc, jakiej doznał. Łzy płynęły mu po licach, pierwsze od czasu niewoli, słodkie lzy wdzięczności i rozrzewnienia.

W kilka dni po tem spotkaniu z córką baszy, w południowej godzinie, dozorca przyprowadził przed Janka drugiego Turka, starszego dozorcę, który tylko od czasu do czasu przychodził, przeglądając postępy roboty, dawał czasem jakieś rozkazy, obliczał niewolników. Teraz, gdy stanął przed Jankiem, zapytał:

— Czy to ten?

— Ten — odpowiedział dozorca.

Turek podał klucz, dozorca schylił się i otworzył nim kłódkę zamykającą kajdany, które z brzękiem opadły z nóg Janka i odeszli obaj nie rzekłszy słowa. Janek stał odurzony, nie wiedział co się z nim stało, zdawało mu się, że mu urosło dwoje skrzydeł u ramion, tak się poczuł lekkim! Bał się poruszyć, by nie uczuć ciężaru kajdan, nie był pewny sensu to — czy jawa? Przestał chwilę w zdumieniu, aż go doszedł znany mu dobrze, przeciągły, jednostajny głos dozorca, naganiający do roboty. Podjął taczki, postąpił krok, ale jak pijany, zatoczył się, stracił równowagę, tak mu się nogi wydały lekkie. I na sercu lżej mu było, czuł, że Bóg nie odwrócił oka swego od jego głowy. Gdy poczeiwy towarzysz jego, Skalka, dowiedział się o tem szczęśliwym zajściu, rzekł z prostotą, a serdecznie:

(d. c. n.)

## SZARADA.

*Pierwsze z trzeciem to imię biblijnej kobiety,  
Trzecie z drugim to przedmiot słynny z tej zalety,  
Że gdziekolwiek użyty, czy mały, czy duży  
Do utrzymania innych doskonale służy.  
Drugie z trzeciem to wytwór ludzkiej wyobraźni,  
Który ciemne umysły zamąca i drażni,  
Wszystko wraz jest to rzeka bystra w swoim biegu,  
I miasto co się wznosi na jej samym brzegu.*



**ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.**

Z następujących sylab ułożyć 9 wyrazów, których początkowe litery należy odczytać z góry na dół. Sylaby: An—a—brzo—ba—bi—dryan—e—gor—i—lon—le—la—lim—n—no—nal—ra—o—szka—ta—za—o. Znaczenie wyrazów: 1) Drzewo liściaste. 2) Ostatnia Jagiellonka. 3) W staroż. miasto nad Eufratem. 4) Leśny owoc. 5) Żona Michała Korybuta Wiśniowieckiego. 6) Nazwa kobiety pochodzenia lechickiego. 7) Cesarz rzymski z II w. po Chr. 8) Przejście podziemne. 9) Siedlisko greckich bogów.

**ŁAMIGŁÓWKA W KWADRACIE.**

Ułożyła Bedunka.

1 . . . . .	Ułożyć 8 wyrazów, aby litery oznaczone liczbami złożyły tytuł ballady Mickiewiczza.
2 . . . . .	
3 . . . . .	
4 . . . . .	
5 . . . . .	
6 . . . . .	
7 . . . . .	
8 . . . . .	

Znaczenie wyrazów:

1) Córka Edypa. 2) Miasto na Szląsku niegdyś stolica. 3) Miasto na cyplu połud. Afryki. 4) Kraj w półn. Ameryce. 5) Rzeka w Brazylii. 6) Miasto n. Wisłą. 7) Szląskie miasto n. Odrą. 8) Szląskie miasto nad Odrą.

Sylaby: An—bia—ba—bórz—ca—ci—ca—dni—go—hy—kap—ko—le—lum—na—pa—ra—ra—śni—stadt—sza—świ—ty—war—o—wa.

**ROZWIĄZANIA DO N-ru 41-go**

Szarady: Nie — bo.

**Łamigłównki sylabowej:**

- 1) Kaliope. 2) Aldona. 3) Rodus. 4) Telimena. 5) Aranjuez. 6) Gawron. 7) Irtysz. 8) Neron. 9) Adelajda.

Kartagina.

**Łamigłównki liczbowej:**

3	16	9	22	15
20	8	21	14	2
7	25	13	1	19
24	12	5	18	6
11	4	17	10	23

**Skrzynka do listów.**

Łosiowi kazańskiemu brakujące numera dodatków posłano. Romcio A. rozwiązał dobrze szaradę i łamigłównkę, jak również Bolesł M., Zosia i Marynia W., Gałazka zielona, Janek i Stefcia Z., Leonka B., Zgodne rodzeństwo i Stała czytelniczka.

Bardzo wyrozumiałą jestem na ogólną wadę lenistwa w pisaniu listów, bo i sama podlegam jej czasami, więc i tobie Skowronku nie dziwię się, że podczas wakacji zapominasz o wszelkiej korespondencji i używasz miłego wypoczynku. Miejsca które zwiedzałeś

w tym roku znam dobrze i każde prawie lato spędzam w tamtych stronach, a co do ślicznych okolic Wilna, podzielim twę zdanie. Namów braciszka by sobie wybrał pseudonym i napisał do mnie lub do Redakcyi. Nagrodę wysłano. Siostrzyczkę twoją Poziomkę leśną pozdrów odemnie i zapytaj co znaczy jej długie milczenie.

**Czesiowi K.** Zaczynam od gorącej pochwały, bo liścik twój tak ładnie i porządnie był napisany, żeś na nią zupełnie zasłużył. A teraz muszę ci powiedzieć, iż bardzo rada jestem, żeś się ze mną pragnął zapoznać i nie wątpię, że nie poprzestaniesz na jednym liściku, ale stale pisywać do mnie będziesz. Ja ze swej strony przyrzekam prędką odpowiedź i zapewniam, że z prawdziwą przyjemnością otrzymywać będę tak miłe liściki, od mego ośmioletniego korespondenta. Łamigłównki oddałam Redakcyi.

**Konwalijsce z nad Bachorzy.** Z listu twój mocno się uradowałam, bo nie odbierając od dość dawna, żadnej od ciebie wiadomości, sądziłam żeś już o mnie zapomniała, to też podwójnie miłym był mi dowód twej pamięci. Niepodobna mi się tylko, iż chesz być podobną do kwiatka, od którego nazwy zapożyczyłaś, do „konwalii białej”, i zaczynasz chorować na błednicę. Pfe, moja panienko, nie choruj, ruszaj się, biegaj i wyglądaj jak „rumiane jabłuszko”. Wszystkie twoje polecenia w redakcyi spełnione, pozdrowienia serdeczne dla ciebie i dla Muszki.

**Śczęsnej z Płocka,** dziękuję bardzo za troskliwość, miewam się zupełnie dobrze, czego też tobie i braciszkowski życzę, byście zupełnie o przebytej chorobie zapomnieli, a rozpoczęte lekcye by szły łatwo i pomyślnie.

Jaka pocziwa ta nagroda konkursowa, skoro zawdzięczam jej zwalczenie twej nieśmiałości Reginko S. wraz z miłym liścikiem, którym obdarzoną zostałam. Nie tracąc też czasu, poszłam do Redakcyi i prosiłam by książeczkę zaraz spakowano. Niech jedzie i przypomina obietnicę, że przy następnym konkursie postarasz się o drugą, a tymczasem gdy pierwsze trudności zwalczone, spodziewam się, że będziesz czasami pisywała do mnie.

**Czerwony list,** od moich kochanych Trzech Raków z Siedlisk powitałam uradowana, bo i tym razem oczekiwanie nie zawiodło i owa czerwona ćwiartka obdarzyła mnie wiadomościami o was, które są mi zawsze pożądane i miłe. Cieszę się, że ostatek lata i cieplejszej pogody, spędzacie wesoło w lesie lub w ogrodzie, a nie wątpię, że i zima da wam nie jedną rozrywkę, i śpiew kanarków przypominać będzie chóry leśne. Marki zwróciłam Redakcyi.

**Szczygiełkowi.** Bardzo miło mi będzie zawiązać z tobą znajomość i na przyszłość proszę cię o częste i długie liściki, na które z przyjemnością odpisywać będę. Rozwiązania wszystkich zadań dobre.

Pierwszy twój list Polna Różyczko pozostawiłam bez odpowiedzi, bo czas dłuższy nie byłam w Warszawie, a za drugi z krótkim lecz udanym opisem Zofijówki, dziękuję bardzo. Widać wiedzanie ładnych i ciekawych miejscowości nietylko robi ci przyjemność, ale i korzyść przynosi. Polecam się i nadal twej pamięci, z prośbą o list trzeci.

Dziękuję ci Rybitwo z nad Wisły, iż nie zapominasz o przyjaznej ci Jaskółce i ślesz jej powitanie w formie miłego liściku. Dwa zaginione numera, Wieczorów nie czekając na przyjazd twej mamy do Warszawy wysyłamy pocztą, abyś nie potrzebowała długo czekać. Konkurs z robót wkrótce ogłoszonym zostanie, a może i twoja sukienka zasłuży na nagrodę.

Jeżeli zamiana listów ze mną miła Stokrotko jest ci przyjemną, to pisuj jak najczęściej, do przyjaznego ci ptaszka, który i tobie i kuzynce twej Małej Literatce zawsze chętnie pośpieszy z odpowiedzią. Nie wiem jeszcze w jakim jesteście wieku, czy uczycie się razem? Dlaczego wybrałaś sobie pseudonym Literatki, czy lubisz tak czytać, czy też z innych względów? Donoszę ci, że wakacje spędziłam bardzo wesoło, w stronach dość dalekich, ale w kraju, nie zagranicą. Nie zapominajcie o życzliwej mam

Jaskółce.

